

Napisali: Janusz Mil
Sławomir Mil

Ilustrował:
Ryszard Grach

POST MORTEM

Zaczynam widzieć. Najpierw niewyraźnie, jakby przez mgłę, a raczej grubą warstwę wody. Obraz jest płynny, kształty zacierają się, barwy zlewają. Ale powoli wszystko nabiera ostrości. Widzę...

...Krawężnik szosy... Trawa pobocza... Pojedyncze krzaki... Rozbity samochód do góry kołami... Zgniecione nadwozie... Odłamki szyb... Oderwane drzwi... 743-RS-04... Mój samochód!... Mój samochód... Skąd?... Jak?... Dlaczego?...

Przebłysk świadomości. Oczywiście! Wracałem z Instytutu zwykłą, codzienną trasą przemierzaną już tysiące razy. Znam każdy jej metr, toteż nic dziwnego, że prowadziłem wóz zupełnie automatycznie. O czym to myślałem? Aha, o proponowanej przez Harrisa serii doświadczeń.

Idiotyzm! Robiono to już setki razy prawie w identycznych warunkach. Identycznych? Znacznie lepszych! No, i powiedziałem mu. Niech nie uważa mózgu za sieć logiczną i nie kombinuje na boku, a zajmie się tym, czym powinien. Czy naprawdę nie mogę znaleźć asystenta, który by nie stawiał sobie od razu za cel zlokalizowania funkcji mózgu? Ten chce z miejsca zidentyfikować obszary decyzyjne, ten umiejscowić pamięć, tamten... Obłąd! A przecież są plany badań, program rządowy, już nawet nie wspomnę o moim... I tak nas za mało, a oni ciągle swoje. Dawać im do dyspozycji sprzęt, laboratoria, ludzi... Skąd i za co? Gdy otrząsnąłem się z tych rozmyślań i rzuciłem okiem na szosę, zobaczyłem olbrzymią ciężarówkę jadącą wprost na mnie. Byłem na lewym pasie! W ułamku sekundy zorientowałem się, że powrót na prawy jest niemożliwy, gdyż był on zajęty przez dwa jadące prawie równoległe ze mną samochody. Pozostawała tylko ucieczka na pobocze. Hamulec i gwałtowny skręt tuż przed maską ciężarówki. A potem wszystko zawirowało, szosa nad głową, trzask pękającego metalu, błysk i...

Bolesny skurcz. Co ze mną? Żyję! Widzę wszystko, więc żyję. Wyleciałem na zewnątrz, gdy wóz koziołkował po raptownym skręcie. Nieprawdopodobne, ale żyję. Tylko coś jest nie tak. Ale co?... Wiem! Nic nie słyszę. Skupiam się... W porządku. Jak przez powoli

uchylane okno zaczynają docierać coraz wyraźniejsze odgłosy. Nic się nie dzieje. Szosą przejeżdżają samochody, wieje dość silny wiatr... Słyszę... Jednak nadal coś...

Nie czuję własnego ciała! Tak, to właśnie to. Widzę, słyszę, ale nie czuję samego siebie. A więc paraliż. Co mogło się stać? Wszystko. Prawie każdy uraz głowy lub kręgosłupa był możliwy. Byłoby tylko nie kręgi szyjne!... A może to tylko szok? Przecież po czymś takim...

Shok, na pewno szok. Nie czuję nic, ale poruszam się! Idę. Powoli zbliżam się do rozbitego samochodu. Schylam się i zaglądam do zgnieczonego wnętrza. Jest puste. Oczywiście, przecież jechałem sam. Prostuję się, spoglądam dalej na pobocze. Kilkanaście metrów od samochodu nieruchoma sylwetka mężczyzny na trawie. Nienaturalnie wygięte kończyny i szyja mówią same za siebie. Czyżbym był mimowolnym sprawcą jego śmierci? Jakimż dziwnym trafem znalazłby się na nieuczęszczanym poboczu akurat w miejscu i momencie mojej kraksy?...

Chociaż wcale nie mam takiego zamiaru, bezwiednie zbliżam się do zabitego, schylam się i odwracam jego lepką od krwi głowę. Twarz jest głęboko poprzecinana w kilku miejscach, brak jednego oka, usta wykrzywia grymas, a mimo tak wielkich zniekształceń czuję w niej coś znajomego. Nie wiem jeszcze co, ale mimochodem rejestruję wygląd ubrania, koszuli, krawata... Boże! To przecież ja! Ale jak? Przecież żyję, myślę, widzę, poruszam się. Więc kto leży tu martwy? Kim ja jestem?

Bezładne myśli kłębiące się w mojej głowie przysłoniły mi coś jeszcze dziwniejszego, coś co zaczęło się chyba przed chwilą. Znowu zatracam nie tyle ostrość, ile spistość spojrzenia. Obraz jest niewyraźny, ale dlatego, że patrzę jakby z kilku miejsc naraz. Ciągłe jest to rozbity samochód i moje (?) ciało w kilku różnych ujęciach, ale dochodzą do tego liczne sylwetki policjantów. Próbuję opanować się, siłą woli skupić wzrok...

Jest. Wyraźny pojedynczy obraz. Znowu twarz martwego mężczyzny. Teraz wiem na pewno, że jest to twarz, którą zawsze uważałem za swoją. Więc nic się nie zmieniło... Staram się zobaczyć coś więcej, ale jestem jak sparaliżo-

wany. Nie mogą odwrócić wzroku. Patrzą jakby nie swoimi oczami. Ciągłe oglądam kolejne fragmenty ciała ofiary i tylko gdzieś na samym skraju obrazu dostrzegam swoje ręce, ale jednocześnie coś mi mówi, że to nie mogą być moje. Nie wiem dlaczego, ale jestem prawie pewny. I nie mogę przenieść na nie spojrzenia. Nie panuję nad wzrokiem. Widzę tak jak w kinie, tylko to, co chce mi pokazać ktoś inny...

Myśli znów biegają wielotorowo i znowu tracę kontrolę nad zmysłami. Wraca poprzedni obraz, a właściwie zbitka kilku obrazów. Ale to tylko na moment. Koncentruję się i... Od dłuższego czasu wpatruję się nieruchomo w tę samą scenę. Policjant klęczący nad nieruchomą sylwetką. Trzyma w rękach jej głowę i nie odrywa od niej wzroku, jakby szukał śladów życia...

– Po wszystkim – mówi odwracając się w moim kierunku.

Też odwracam się. Na poboczu stoi samochód policyjny. Obok niego dwóch w mundurach i jeden cywil obwieszony sprzętem fotograficznym.

– No dobrze, róbcie swoje! – słyszę to tak, jakbym sam to powiedział. Nie jest to mój głos, ale jakby wychodził z moich ust, a raczej ust sprzężonych z moimi uszami.

Wystarczy! Najwyższym wysiłkiem woli powstrzymuję uczucie paniki. Tylko nie to! Skupić się! Nie polegać na wzroku ani słuchu! Pomyśleć!

Opanowałem rozdygotane nerwy. Przestaję zwracać uwagę na doznania zmysłowe. Teraz odbieram albo wszystko naraz, albo fragmenty z różnych punktów widzenia. Rejestruję je tylko... Myślę...

Co wiem na pewno? Miałem wypadek samochodowy...???... Przecież ten, kto go miał, zginął. (*Błyski flesza, zdjęcia z kilku ujęć. „Pospiesz się, człowieku, zrób tylko ogólnosytuacyjne!”... „Zaraz kończę”... Znów błyski*). A to przecież nie ja. Ja żyję. Więc miałem wypadek, czy nie? Musiałem mieć! Taki czy inny, może nie samochodowy, ale coś musiało mi się stać. (*Podjeżdżam samochodem. Hamuję. Policjant daje mi znać, bym zjechał na pobocze... Podjeżdża sanitarka. Wysiada le-*

karz. „Możecie zabierać”). Nie, tak do niczego nie dojdę. Konkrety? Był wypadek. Kierowca zginął. Obecność całej tej ekipy najlepiej o tym świadczy. Ale to nie mogłem być ja, bo skąd bym o tym wiedział. Czyli, że zginął ktoś inny. Kim więc w końcu jestem? Może kimś z ekipy, jednym z policjantów? Może przyjeżdżając tu po wypadku, czy będąc jego świadkiem, uległem jakiemuś szokowi i wydało mi się, że to ja jestem ofiarą? (*Trzymam nosze... „Dawajcie!... Ładujemy do karetki”... Przechodzę i siadam z przodu obok kierowcy...” To co, jedziemy”... Powoli zawracam i wjeżdżam na szosę*). Chyba nie, bo myślę trochę za logicznie. Kto zginął? Niewątpliwie profesor Atkins. Twarz dobrze znana z fotografii prasowych, z telewizji... Tak, wcielenie się w niego byłoby możliwe...

Tylko... Dlaczego wiem o nim wszystko? Wiem? Przeżyłem wszystko! Wszystko pamiętam! Całe życie, prace naukowe, rodzinę, Instytut... Nie mogłem wcielić się w niego. Ja nim jestem! Ale on zginął... Więc co? Życie pozagrobowe? Nonsens...

Nowy typ percepcji. Na zmianę albo nie widzę nic, albo patrzę oczami kierowcy prowadzącego samochód na krótkim odcinku w rejonie mojego wypadku. Odbieram przejazd na jakichś 200–300 metrach, a potem znów przerwa...

Oczywiście! Wszystko to ma sens logiczny. Od początku miało. Po prostu odbieram doznania zmysłowe różnych ludzi, ale tylko tych, którzy znajdują się aktualnie w sąsiedztwie miejsca wypadku. Dlaczego? Tak, logika w tym jest, ale chyba tylko paranoika. (*Otwieram drzwi... Za progiem całuje mnie jakaś obca kobieta... „Chodź! Kolacja jeszcze nie wystygła”... Obca, wiejska izba... Siadam do stołu*). Wiem! Nic się nie stało. Nadal jestem sobą, tyle że przeżywam akurat jakąś halucynację, nadzwyczaj rozbudowaną, ale spójną wewnątrznie...

W jaki sposób? Halucynogeny? Mamy w Instytucie. Sam brałem kilka razy na próbę, ale przecież nie dzisiaj. Przypadek? Ktoś mi zrobił głupi kawał? Nie, jedno i drugie wykluczone. Zresztą czy mógłby to być halucynogen?

Nie było przecież początkowych objawów, tych wszystkich orgii barw, kształtów, surrealistycznych krajobrazów, wszystkiego, co zazwyczaj przeżywałem... (*Późny wieczór... Idę wąską uliczką... Przecież to moje miasto... Skręcam w pasaż... Wchodzę do jakiegoś baru... Ogluszająca muzyka... Prawie sama młodzież... No, nareszcie jesteś!*). Chyba jednak to nie to. Więc co, wracamy znów do wypadku... Owszem, halucynacje związane z szokiem pourazowym. Co prawda, brak wiarygodnych relacji na ten temat, ale rzecz jest teoretycznie możliwa... a gdyby tak od jutra przenieść Harrisa do zespołu Belliniego, byłby bliżej tego, co go interesuje, a przynajmniej miałbym z niego jakiś realny pożytek... A wtedy nic się nie dzieje. Leżę w szpitalu, walczą o moje życie, a ja sobie imaginuję. (*Znowu jakiś cholerny western!... Pędzą gdzieś na koniach, a ja bym wyłączył to najchętniej, ale nie mogę zrobić ani jednego kroku w kierunku telewizora... Siedzę jak otepiaty*). Ale dlaczego mogę myśleć o swoich stanach psychicznych z dystansu? Dlaczego mogę je analizować? Subiektywnie mózg mój pracuje zupełnie normalnie... Trzeba tylko uczulić trochę Belliniego, niech mu da konkretną robotę, ale zostawi jakiś margines na własną działalność, elastyczność, to najważniejsze... A więc halucynacje w zakresie percepcji przy jednoczesnej trzeźwości sądów. Coś jeszcze... Co?... Aha, przecież przed chwilą myślałem o tym, co mam załatwić jutro w Instytucie. Harris. Bellini. No tak! Ale to myślała jakaś inna część mnie. Czyżby halucynacja, czy cokolwiek to jest, zaczynała rozpadać się na niezależne fragmenty? (*Stoję przed umundurowanym urzędnikiem. Oddziela nas szeroka bariera... Spoglądam do tyłu... Tak, to hala naszego lotniska... Podaję urzędnikowi paszport... W środku fotografia jakiejś blondynki... Ingrid Sandberg... Urzędnik podnosi wzrok, porównuje moją (?) twarz z fotografią... Oddaje mi paszport... Proszę dalej!*). Na pewno wszystko to, co odbieram, odbywa się poza moją wolą. Tak, jakbym włączał się przypadkowo do receptorów coraz innych osób... A oni stale chcieli, żebym zajął się biegami, a ja wołałem biegać za piłką chociażby w rezerwowej drużynie Uni-

wersytetu, byle tylko za piłką, a nie w kółko po biegni, a oni wciąż mówili: „Atkins, nie mamy dobrego długodystansowca, a ty, jakbyś trochę potrenował” – i nawet byłem bliski tego, ale po tym faulu pod bramką sprawa rozwiązała się sama... Jednak trzeba równocześnie zabrać kogoś Belliniemu i dać na obecne miejsce Harrisa, bo inaczej z miejsca podniesie się krzyk. Chyba znajdzie kogoś z kim rozstanie się bez żalu...

W dodatku straciłem „spójność lokalizacyjną” percepcji, jaką miałem na początku. Obejmuję już znacznie większy rejon niż bezpośrednio po wypadku. Jaki? Miasto, lotnisko... Zaraz! Wypadek wydarzył się osiem kilometrów od miasta i kilkanaście od lotniska. Tak, Instytut jest mniej więcej pośrodku. Czyżby więc obszar mojej percepcji rozszerzał się na wszystkie strony?... I prawie rok utykałem na lewą nogę i tylko mała Ann wierzyła, że odzyskam pełną sprawność, a oni mówili: „A widzisz, trzeba było rzucić tę całą piłkę” – i może właśnie dlatego zacząłem poważniej studiować, a mała Ann... (*Ciemno... Od czasu do czasu migają z góry światła... Szyny... Jadę pociągiem przez tunel? Nie, jest za wąsko... Przestrzeń rozszerza się... Światło... Kopalnia? Tak, prowadzę jakiś pojazd szynowy w kopalni*)... Na sympozjum trzeba coś przygotować raczej na pokaz, niż konkretnego, bo na to za wcześnie, ale w miarę efektownego, coś, co by dobrze ustawiło nasz Instytut...

Już wiem, że tracę spójność osobowości. Niby jest tak, jak przy normalnej pracy mózgu, gdzie nakłada się na siebie cały szereg równoległych procesów myślowych, ale nie są one tak ostro wyodrębnione. Przestrzeń, jaką ogarniam, rozszerza się. Była kopalnia. Skąd? Są kopalnie kilkadziesiąt kilometrów na zachód od nas. Więc aż tak? Oczywiście, niby dlaczego przestrzeń miałaby rozszerzać się tylko na płaszczyźnie, a nie sferycznie... Sfera? Kula? O czymś takim mówił Harris. Tylko w związku z czym? Harris... Sfera... Harris... Pamięć... Harris... Cykl... Harris.

★

Plac Zwycięstwa. Słońce prawie w zenicie. Stoję na szczycie schodów katedry... Skąd się wzięłam w stolicy? Nie miałem w planie żadnego wyjazdu. Aż do przyszłej niedzieli. Tyle spraw w Instytucie... Instytut?... Policja... Aha, wypadek! Przecież miałem wypadek! Obraz placu ginie raptownie. Wszystko wraca...

Spałem? Chyba tak. Jest już przecież południe następnego (?) dnia. O czym myślałem ostatnio? Wypadek... Harris... Przestrzeń... A więc to już tak daleko zaszło? Obejmuję już możliwością percepcji kilkaset kilometrów? Najwyraźniej. Zresztą tak powinno być zgodnie z logiką wydarzeń... Rejon wypadku, potem miasto, lotnisko, gdzieś tak ze dwadzieścia kilometrów, kopalnia, a więc z sześćdziesiąt, później chyba spałem, a teraz, po kilku godzinach, stolica... (*Przedzieram się przez jakąś gęstwinę... Dziwne liście, kwiaty... Z tego, co wiem, powinny to być tropikalne zarośla...*). Dlaczego wybrałem akurat neurologię. Mała Ann? Możliwe, ale chyba bardziej ojciec... (*Morze... Pochmurno... Stoję przy burcie... Silna fala... Morze...*)... Mary będzie zła, że zamiast z rodziną do Bredshaw wybieram się na sympozjum, jakbym nie mógł wysłać któregoś z zastępców... („Nie rób ze mnie idiotki” – *oburzona kobieta twarz*)... Utrzymać to w kupie jeszcze z półtora roku, a potem zająć się swoim tematem... (*Drzwi zamykają się powoli... Wciskam guzik... 18 piętro... Moja ręka jest czarna!*).

Skupić się, skupić się! To już chyba znacznie więcej. Tropiki, morze... Tysiące kilometrów... Nie odbierać wrażeń wzrokowych! Zwiększają tylko zamęt, wnoszą dodatkowe skojarzenia, a więc zapewne i poboczne wątki myślowe.

Gdy przestaję zwracać uwagę na otoczenie, zaczynam intensywniej myśleć, obraz rozpląta się. Szarość. No tak, teraz pewnie nakładają się tysiące różnych obrazów. Tym lepiej. Przynajmniej można skoncentrować się. A więc tak. Mogę korzystać z receptorów wielu ludzi i to w bardzo rozległym rejonie, psychicznie nadal pozostając sobą. Co prawda, daje się zauważyć postępujący rozpad psychiki na niezależne części, ale każda z nich nadal

należy do mnie, cały czas związana jest z moją przeszłością, teraźniejszością, pracą, rodziną. Dobrze, przyjmijmy za bezsporny fakt mojej tożsamości z profesorem Atkinsem... (*No, teraz to już naprawdę dostaniesz, poczekaj tylko, aż przyjdzie ojciec, czy nie możesz być chociaż trochę taki jak Tom...*). Co z wrażeniami zmysłowymi? Halucynacją raczej nie są. Zbyt realne na to. I mają swoją logikę. Przeźrenie rozszerza się w miarę jednostajnie... A może nie? Chyba raczej coraz szybciej. Nieważne zresztą! Czas upływa raczej normalnie. Więc czy w końcu odbieram obiektywną rzeczywistość czy nie? Tylko to jest ważne. Mniejsza już z mechanizmem takiego typu percepcji! Tylko czy jest ona wiernym odbiciem zachodzących wydarzeń? Bo jeśli tak, to znaczy, że nie żyję od kilkudziesięciu godzin. Przynajmniej moje ciało nie żyje... Po trzydziestu latach małżeństwa jeszcze nie może przyzwyczać się do moich wyjazdów, wiem, wiem – za mało uwagi poświęcam dzieciom – wyrosły prawie bez ojca, nie jest z nimi tak źle... (*Tarcze powoli zatrzymują się. Z brzękiem wypada kilka monet.*)... Kupiłem go za grosze, chłopcy się śmiali, a ileż kłopotów było z silnikiem, ale dwa lata wytrzymał, aż rozleciał się doszczętnie, prawie wszystko na raz... (*Przepycham się przez tłum... Potworny ruch... Korek na jezdni.*). Dajmy na to... (*Strzały... Przesuwające się tarcze.*). Jeśli nie, to w najgorszym razie...

*

Znowu osiągam jaką taką konsolidację. Ale tym razem trwało to chyba bardzo długo. Czuję, że minęły całe godziny. Jeśli chcę do czegoś dojść, muszę szybciej myśleć.

Nie żyję. Fizycznie nie żyję, ale psychika moja pozostała. Dlaczego? Czyżby to było to, co przez stulecia uważano za ducha ożywiającego materię? Poniekąd. Ciało umarło, umysł pozostał. Bez żartów! Jeśli psychika moja pozostała, to znaczy, że takie jest jedno z praw przyrody rządzących nią. To znaczy, że tak musi być i że tak jest zawsze. Bo nie mogę tego traktować jako jednorazowego fenomenu czegoś, co spotkało tylko mnie. To byłoby za

proste. Muszę przyjąć za pewnik, że po śmierci psychika nie ginie, przynajmniej nie od razu, i może korzystać z receptorów innych ludzi. Mechanizm? (*Grupa ludzi wokół stołu. Papiery. Zebranie, narada?... Wodospad... „Ach, daj spokój!”*).

★

... Patrycja pożyczła mi notatki, w moich było za dużo luk, bo gapiłem się przez okno i słuchałem odgłosów z boiska... Czy już załatwiłem to przeniesienie Harrisa do Belliniego? Harris! Wracam raptownie do siebie, to znaczy do tej części mojej świadomości, która analizuje aktualną sytuację. Znowu upłynęło sporo czasu. Jaki jest więc mechanizm pośmiertnego bytu mojej psychiki? Tkwi on zapewne w jej istocie. A co z nią jest? Pamięć osobnicza... Harris! Nie na darmo myśl o nim przywróciła mi konsolidację. To przecież był pomysł Harrisa. Zaraz, jak to było?

(*Śnieg... Prawie nic nie widzę... Jakieś budynki w oddali... Łód... Stacja badawcza?*)... Nawet zastępcy nie mogłem wybrać sobie sam, wsadzili mi tego Mc Ilroya...

Powraca cały wywód Harrisa, ale jakże wzbogacony teraz przez moje doznania. Wiem już wszystko. To, czego on domyślał się nieśmiało, znalazło potwierdzenie, i to prawie w apokaliptycznej wersji.

Istotę świadomości zawsze upatrywano w osobniczej pamięci, jej zmianach, konsolidacji, kształtowaniu czy też możliwości korzystania z niej na rozmaite sposoby. Nic więc dziwnego, że wszyscy chcieli zlokalizować ją, chociażby na siłę... Kora, hippokamp, te wszystkie doświadczenia, cięcia... Nic z tego nie wychodziło. Dopiero Harris...

Idea jego była w swej ekstremalnej postaci bardzo prosta. Pamięć jest zjawiskiem falowym. Przynajmniej ta jej część, która decyduje o świadomości, oderwana od całego wewnętrznego sterowania organizmem. Jest to fala zamknięta w obrębie mózgowczaszki, sferyczna zapewne. A sam mózg? Pełni szereg funkcji. Ekranuje falę przed ucieczką na zewnątrz, wybiera z niej informacje, przetwarza je, wprowadza nowe. Niewątpliwie tworzy też pewne krótkotrwałe struktury pamięciowe,

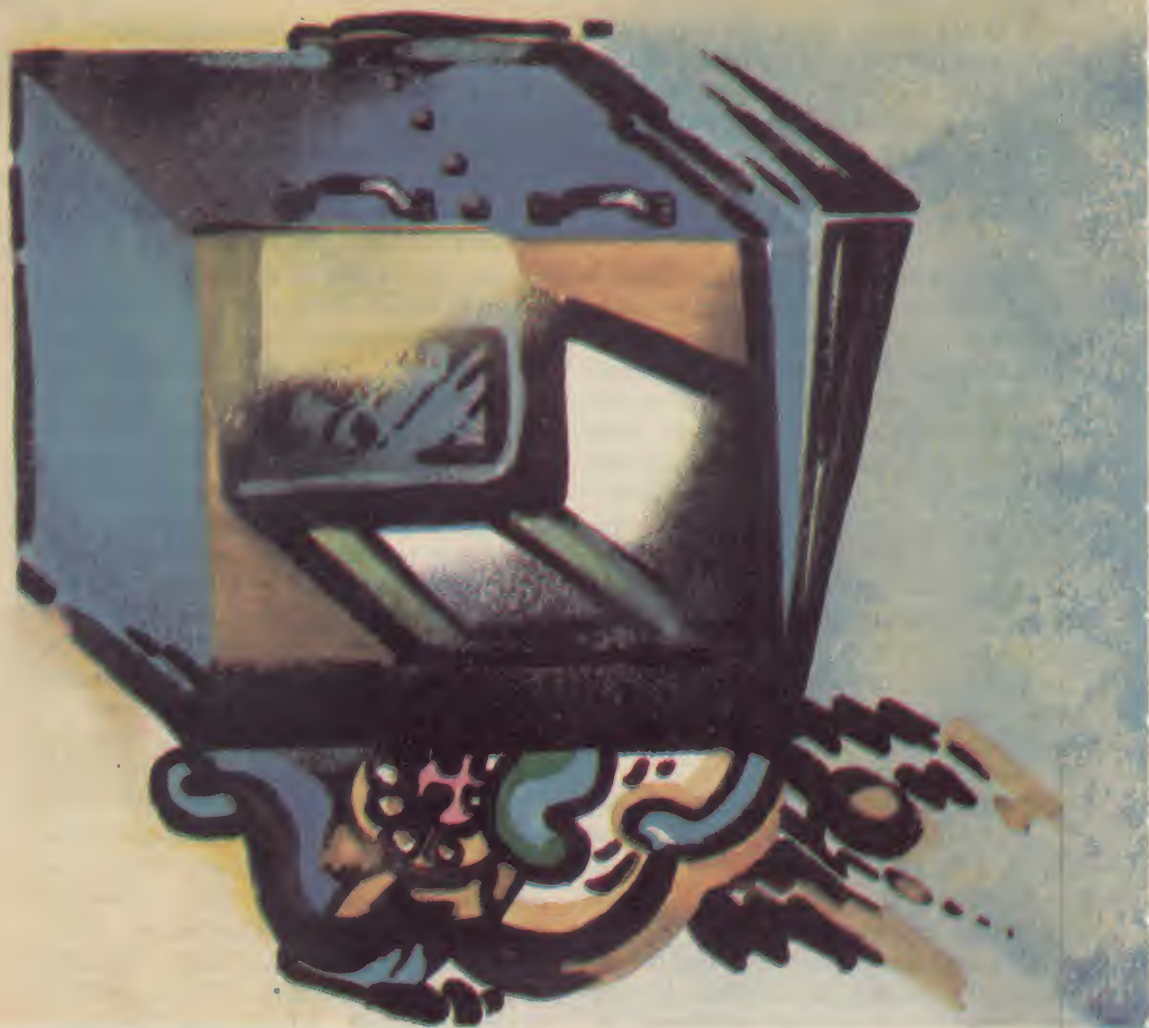
coś jak pamięci operacyjne maszyn cyfrowych. Oznaczałoby to także, że zasadnicze procesy myślowe zachodzą właśnie w obrębie fali, a mózg jedynie wychwytuje z niej końcowe wnioski. Tłumaczyłoby to różnorodność, wielotorowość i wielopoziomowość myśli... (*Oddaj, oddaj natychmiast! Mamo, znowu zabrała mi...*). Przecież to jest populacja reprezentatywna, a jeśli wynik się nie zgadza, to znaczy, że cała teoria jest diabła warta... Taka struktura pamięci tłumaczyłaby wszystko. Gigantyczną pojemność, asocjacyjność, delokalizację, przypadkowość dostępu. Fakt, badania aktywności elektromagnetycznej mózgu na nic takiego nie wskazują. Ale przecież fala pamięci może mieć charakter niewykrywalny dotychczas prowadzonymi doświadczeniami. Może to być, na przykład, fala zupełnie różna od elektromagnetycznej, a jeżeli nawet jest taka, może mieć bardzo szerokie pasmo. To ostatnie zgadzałoby się ze stwierdzoną hierarchicznością pamięci. A wtedy klasyczne eksperymenty są do niczego. Tak, wszystko się zgadza.

A po śmierci? Cóż, mózg umiera, przestaje pełnić swoje funkcje, nie steruje już pamięcią i, co najważniejsze, nie ekranuje jej, nie utrzymuje jej spójności. Fala zaczyna rozpraszać się sferycznie, jest coraz większa, zaczyna się rozpadać... Wszystko to było... (*Półmrok, a w nim tłum ludzi wpatrzonych we mnie... Odwracam się powoli... Ołtarz... Karuzela zwalnia, zatrzymuje się, schodzę na miękkich ze strachu nogach... „Jeszcze raz, tato, jeszcze tylko raz”... „Alicjo, słodka Alicjo!”*)... Skąd cudze receptory? Też można od biedy wytłumaczyć. Pamięć utrzymywana w obrębie mózgu niewątpliwie nie ma i nie może mieć kontaktu z obcymi doznaniem. Zaś fala uwolniona?

★

Znowu minęło wiele godzin. Czuję upływ czasu i wiem, że to już niedługo. Co to było? Aha, obce receptory.

Co mózg przekazuje do pamięci? Informacje. Wszystkie, jakie odbierają zmysły. Założmy jednak, że przez dłuższy czas odbieramy te same wrażenia, na przykład przez kilka minut



wpatrujemy się w tę samą, statyczną scenę. Co wtedy? Mózg przekaże ją raz do pamięci i wystarczy. A przez kolejne minuty emituje ją nie do pamięci, która odrzuca powielane informacje, ale na zewnątrz. Wysypisko śmieci.

I wtedy moja uwolniona pamięć może odbierać, absorbować te szczątki, chociażby na drodze interferencji. I odbiera. Wszystkich, którzy są w jej zasięgu. Niewątpliwie pogłębia to rozpad fali nasycając ją informacyjnie do granic pojemności. (*Strugi deszczu... Jakaś szara ulica... Woda spływa mi po okularach... Mijają mnie samochody z włączonymi światłami... Biegnę... Trzech przede mną... Bardzo szybkie tempo... Przyspieszam... Już tylko dwóch, jeden*)... Mam dzisiaj przeegzaminować trzy-

dziestu? Zwariowali, kompletnie zwariowali. Pewnie, najłatwiej wszystko zwalić na mnie... Dlaczego jednak mogłem słuchać słów czy oglądać sceny, które zachodziły zdecydowanie jednorazowo? Cóż, bardzo często słyszymy albo widzimy coś, ale wcale tego nie odbieramy, nie uświadamiamy sobie odbieranych wrażeń, traktujemy je jak szum. Czyli że do pewnego stopnia możemy sterować zapisem do pamięci. Jeśli czegoś pilnie, ze skupieniem słuchamy, wtedy zapisujemy to bezwzględnie do pamięci, jeżeli natomiast przechodzi to mimo nas, wówczas i mózg nie transmituje tego w obręb pamięci, a emituje na zewnątrz. Oczywiście. Gdy zamyszę się głęboko na jakiś czas, nie pamiętam później żadnych wrażeń

zewnątrznych z tego okresu. Mózg mój, zajęty przetwarzaniem danych z pamięci, nie mógł zapisywać nowych i odrzucał je. A wtedy mógł je odebrać każdy zmarły.

Co będzie dalej? Nic. Rozpadam się. Przestaną być sobą. Umrę do końca. (*Drukarka maszyny cyfrowej... Błyskawicznie pojawiają się kolumny liczb... Dalej i dalej*).

★

(*Osypisko kamieni i miążkiego piasku... Brnę pod górę... Czarne niebo i jaskrawożółte gwiazdy... Podnoszę głowę... Wielka błękitna tarcza... Ziemia!*)... Co? Co? Księżyc? Ogarniam już tyle! Można było spodziewać się.

Chyba już niedługo. Ciekawe, ilu przede mną doszło do podobnych wniosków? Chyba każdy psycholog, neurolog czy biolog, jeżeli po śmierci nie popadł w kompletną panikę i zachował na jakiś czas trzeźwość sądu. Co prawda, nie każdy miał swego Harrisa. Bo tylko on już za życia... Otwieram posiedzenie Rady Instytutu. Punkt pierwszy: sprawa rozdziału dotacji na pierwsze półrocze. Sądzę, że wszyscy zapoznali się z propozycją. Czy są jakieś inne wnioski? Panie profesorze, uważam, że nasz zespół został kompletnie zlekceważony... Pewnie, że oblałem, tak jak wszyscy. Nie będę uczył się na pamięć idiotyzmów... „No i widzisz, co z tego wyszło?”... Ileż spraw można wytłumaczyć takim modelem! Zjawiska parapsychiczne, telepatia? Na pewno są tacy, co potrafią w kontrolowany, kierunkowy sposób emitować część swojej fali pamięciowej tak, by inny mózg mógł ją odebrać. Być może u niższych organizmów jest to regulą. A dalej intuicja, wrodzone predyspozycje, pamięć gatunkowa, instynkt stadny, jasnowidzenie? – atawistyczne uczulenie na odrzucane przez innych fragmenty fali, możliwość odbioru tych resztek... Nie mogę, nie wytrzymam, czy naprawdę nie mogę dostać miejscowego znieczulenia? Doktorze, litości...

★

...Dlaczego nie... uważaj, Bob idzie za tobą... Zostaw, nic z tego nie wyjdzie... Oni nie

dowiedzą się tego. No, bo jak? Gdybym mógł żyć dalej wiedząc to, co wiem teraz! A cały Instytut jest gdzieś daleko, na peryferiach tej idei. Bawi się i upaja swoją niewiedzą. Tylko Harris... I jeszcze dziesięć, kto dodaje... 20 25 30... wyłączaj powoli, już odczytaj wynik... Ta chmurka przypomina kotka...

★

(*Woda... Ręka rozgarnia płynącą wodę*)... Dziękuję, panie ministrze... Dobry piesek, dobry... Alicjo... Jeden, dwa, trzy, pięć a gdzie cztery? Cztery, pięć, pamiętaj... Harris! Nie poddawaj się, walcz, walcz o swój pomysł, walcz ze wszystkimi!... Na zdrowie, ale do dna, do dna chłopcy! H_2SO_4 ... Gonic na e5... Co z tego... Tylko pamiętaj, tak, jak się umówiliśmy... (*Zapalone raptownie światło... Mrużę oczy*)... Niech będzie... HARRIS, WALCZ! Tak, właśnie tak...???...abc... Proszę pana... Logarytm – nie wiem... Dłużej nie mogę... HARRIS!!!... Dobrze... Taram tam tam... Podaj... Po co... Już... Ona... HAR... albo... i... ja...47... E-dur... że... ?... e...o...

★

Wracając z pogrzebu Harris był w ponurym nastroju. Spowodowała go nie tyle śmierć dyrektora, z którym nie zdążył się żyć przez kilka miesięcy, ani nawet padający od rana deszcz, ile przyszłość jego projektu. Podświadomie wyczuwał, że Atkins, jeśli nawet nie popierał go bez reszty, to przynajmniej w jakiś sposób sympatyzował z nim, z jego sposobem myślenia, i że w końcu mógłby od niego uzyskać zezwolenie i środki na badania. Ale Mc Ilroy, który objął Instytut? Ten skostniały formalista... Nawet nie ma co poruszać z nim tego tematu.

Przejaśniało. Po porannej mgle, po deszczu wyrzało słońce. Poweselał od razu. Ech, co tam... Ani to pierwszy taki pomysł, ani ostatni. W końcu trafi na taki, który pozwolą mu realizować. Jest przecież tyle interesujących problemów w tej dziedzinie...